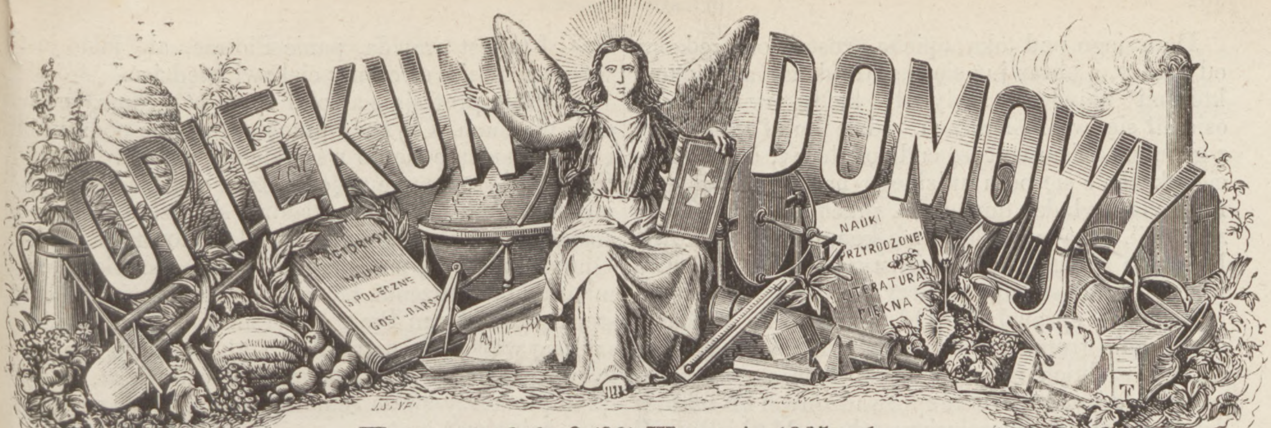


Warszawa dnia 8 (20) Września 1865 roku.

Nr 38. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

OBRAZ CUDOWNY MATKI BOSKIÉJ

W MYŚLENICACH.

Przodkowie nasi jak największe zawsze mieli nabożeństwo do Matki Najświętszéj, ztąd w rozlicznych miejscach ma ta Królowa Nieba poświęcone czci swojéj świątynie i kaplice, a w wielu zasłynęła cudami i stała się przedmiotem gorących modłów i tłumnych pobożnych pielgrzymek.



Obraz cudowny Matki Boskiéj w Myślenicach, w Galicji.
(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Zabłocki).

Do takich obrazów cudownych, należy znajdujący się wMyślenicach, o 4 mile od Krakowa, w Galicji Austryjackiéj, a którego wizerunek tu podajemy. Historja jego wkrótkich słowach jest taka:

Namalował ten obraz słynny po wszystkie czasy malarz Włoski, Rafael,którego utwory niezmiernie drogo opłacane, zawsze jednostajne dla siebie wzbudzają uwielbienie. Szczególnie odznaczył się ten mistrz niezrównany w malowaniu Madonn czyli obrazów Matki Boskiéj; wiele z nich przechowują jako świętość po najbogatszych muzeach czyli zbiorach rzadkości. Jednocześnie na stolicy apostolskiéj zasiadał Papież Syxtus V, co to z najprostszego stanu, bo z pasterza bydła, przez pracę, rozum i świętobliwy żywot doszedł aż do najwyższéj godności Namiestnika Chrystusowego. Owóż Syxtus V, jeden z obrazów Rafaela darował niejakiéj krewnéj swojéj, przełożonéj jednego z klasztorów w Wenecji, a ta obdarzyła nim na pamiątkę, bawiącego podówczas we Włoszech księcia Zbarazkiego, kasztelanaKrakowskiego.

Zdarzyło się, że wtenczas w Krakowie panowało morowe powietrze, które zaraźliwem tchnieniem swojem wyludniało całe wsie i miasta, otwierając wszędzie groby i szczepiąc ruiny. Jednym ze środków zapobiegających szerzeniu się zarazy, było palenie wszystkich przedmiotów jakie w dotkniętym zarazą domu znajdowały się. Takiemu spaleniu tylko co nie uległ wspomniony obraz Matki Boskiéj, który wyprosił dla siebie niejaki Grabysz Marcin mieszczanin, w swoim domu umieścił i największą czcią otoczył.

Dom jego pod taką opieką, został oszczędzony od zarazy, a obraz już się zaczął odznaczać cudami, któremi najwięcéj zasłynął, kiedy ów Grabysz osiedlił się w Myślenicach, gdzie kupił sobie dom z gruntem. Tam stał się cud rozgłośny, a mianowicie okazanie się potu ludzkiego na obrazie, tak, że miejscowa władza duchowna, przeniosłszy obraz do zakrystji, zażądała oddzielnéj kommisji z Krakowa. Przybyłe ztamtąd duchowieństwo, w obec mnóstwa wiarogodnych świadków, przy współdziałaniu lekarzy, cud ów sprawdziło. Od téj chwili do Myślenic nieustannie gromadził się pobożny lud, jak na odpusta. Po wielkich nabożeństwach i uroczystościach, podczas których nawet ze sprowadzonych z Krakowa dział strzelano, przeniesiono obraz Matki Boskiéj do kaplicy i w ołtarzu ustawiono, gdzie jaśnieje podziś dzień i ztąd ta święta Orędowniczka nasza, nie przestaje zlewać swych łask, na garnących się do Niéj z żywą wiarą śmiertelników.

Aloizy Kuczyński

TAJEMNICZY DOM.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 37).

Mer zdawał się te wszystkie wiadomości rozważać w swojéj prześwietnéj głowie, a potem obróciwszy się do skarżących mieszkańców zawołał: Idźcie teraz do waszych zatrudnień, a jutro powiem wam zapewne coś nowego w téj sprawie.

Kiedy mieszczanie odeszli, mer ubrał się we wszystkie oznaki swéj władzy i poszedł do tajemniczego domu Piotra. Przybywszy do niego, obszedł go ze wszystkich stron, a potem zapukał do drzwi.

— Kto tam? zawołała Gertruda.

— Mer miasta.

— Otwórz, powiedział ktoś wewnątrz domu, i drzwi się zaraz roztworzyły.

Mer wszedł do domu i został przyjęty przez niemłodego człowieka, mającego siwiejącą już brodę, i całą postawę dość fantastyczną.

Pokój, do którego wszedł mer, był dość obszernym, umeblowanym wygodnie, ale z największą prostotą. Nie było tu nic takiego, coby mogło zwracać uwagę na siebie, lub w ciekawość kogo wprowadzić. W oknie jednak wisiał jakiś podłużny duży przedmiot, który był pokryty czarną zasłoną z białą wypustką.

— Panie merze, powiedział teraz pan Piotr (tak go będziemy nazywać), cóż jest za powód, że mam honor osobę pańską w moim domu widzieć?

— Powód méj wizyty, kochany panie, chcę właśnie z całą otwartością bretońską wypowiedzieć. Oto wasze odosobnienie i tajemnicze życie, zbyt zajmuje wszystkich mieszkańców miasta, a dziwactwa waszéj gospodyni, przerażają wielu nawet. Nikt nie zna waszego zajęcia, ani też sposobu do życia i dla rozproszenia różnych przypuszczeń krzywdzących was, chcę abyście mi otwarcie wypowiedzieli wszystko.

Pan Piotr odpowiedział:

— Kiedym przybył osiąść pomiędzy wami, kupiłem sobie ten dom i zapłaciłem za niego zaraz gotówką.

— To prawda, odpowiedział mer, gdyż nawet to kupno przedemną było dopełnione.

— Akt sprzedaży tego domu odbył się na moje nazwisko, które więc z tego powodu nie jest żadną tajemnicą dla nikogo.

— I to jest prawda, panie Piotrze, ale jaka jest wasza profesja, ot cośmy ciekawi wiedzieć.

— Moja profesja! zawołał żywo pan Piotr, ja żadnéj nie mam. Czyż nie płacę regularnie podatków i czy nie stosuję się do wszelkich przepisów prawa. Czegóż więc odemnie więcéj jeszcze chcecie, i czyż mi nie wolno tak jak chcę zatrudnić się czem, lub pozostać spokojnym w mym domu! O! to już za wiele! Opuść mnie pan, panie merze, bo już nic więcéj nie mam do powiedzenia. I to mówiąc z rozkazującym gestem, pokazał pan Piotr drzwi merowi i ten pośpieszył się wyjść jak najprędzéj, gdyż czuł, że nie ma prawa nachodzić dom spokojnego człowieka, który tylko plotkarzy swem samotnem życiem, ale spokojnem, zajmować może.

— Panie merze, powiedziała Gertruda, kiedy on już był na progu, nieprawdaż to, że u złośliwych ludzi głowa jest niegodziwym chwastem, który skosić trzeba.

— Niech piekło was pochłonie, powiedział mer, przyśpieszając swoje wyjście z tego domu.

Wieczorem mer i kilku jego lepszych znajomych zgromadzili się, jak zwykle byli co dzień robić, w jednym z pokoików składających gospodę „*Pod konikiem.*" Napito się cydru, zaczęto mówić to o tem, to o owem, nareszcie wszczęła się rada o panu Piotrze i o odwiedzinach u niego mera, a które spełzły na niczem, z wielkim żalem wszystkich ciekawych. Mer pociągnąwszy porządny łyk ze szklanki cydru, powiedział:

— Jednéj tylko rzeczy żałuję.

— A to jakiéj? zawołali wszyscy chórem.

— Oto, żem nie zobaczył co to w oknie wisiało pod tą czarną obsłoną.

— Coby też to być mogło?

— A! zawołał Jan właściciel dużéj kuźni, jużci to jest rzecz niezmiernie ciekawa, a to tembardziéj, że to coś czarne zawieszone jest właśnie w tem samem oknie, w którem co noc punkt o północy widzieć można wystawione światło, które trwa prawie aż do dnia białego.

— Czy ty panie Janie z pewnością wiesz o tem?

— Z jak największą. Nieraz to sam obserwowałem i zawszem widział zjawiające się światło punkt o północy, a znikające jak się już dzień zrobi.

— Cóżbym niedał za to, żebym mógł wiedzieć co się tam wtedy przy tem świetle w téj tajemniczéj jaskini robi. Trzeba to wykryć koniecznie, choćby mnie nie wiem co kosztowało. Tylko w jaki to sposób zrobić należy, to jest prawdziwy sęk. A! przewybornie! co za dobra myśl przyszła mi do głowy. Ty panie Janie masz czeladnika zwinnego, otóż dam mu pięciofrankówkę, ale niech pójdzie w nocy i dobrze się wszystkiemu przez okno przypatrzy; jest tam sucha jabłoń tuż pod oknem; z niéj będzie mógł najlepszą sobie strażnicę zrobić.

— Doskonale! zawołał zachwycony posiadacz kuźni, przyjmuję cały ten projekt za mojego chłopaka i ręczę, że się dobrze popisze.

O północy tego samego jeszcze wieczoru, czeladnik kowalski, w nadziei pozyskania sobie tanim sposobem pięciofrankówki, za którą nie mógł się dotąd ostatecznie zdecydować, czy ma kupić nową bluzę, czy też co innego, poszedł ku samotnemu domowi, aby wdrapawszy się na starą jabłoń, mógł wykraść tajemnicę jego.

Wiatr zimny świszcząc, wygrywał owe smutne melodje, jakie to tak nieprzyjemnie na nas oddziały-

wają. Psy w okolicznych osadach wiejskich wyły sobie na wszystkie tony, zapewne dla rozerwania się w nudach, albo dla zawtórowania popisującemu się swobodnie wichrowi. Księżyc od czasu do czasu wyglądał swą tarczą czerwonawą, z poza chmur siwych i białych, jakie koło niego śpiesznie przesuwały się.

Czeladnik jakoś nieco zaniepokojony przybył pod okna tajemniczego domu.

Nie wielkie światło w nim błyszczało.

Ciekawy czeladnik, zatrzymując oddech w sobie, z największą cichością wszedł na drzewo i przechyliwszy się, mógł dobrze widzieć przez to oświecone okno, co się wewnątrz domu działo.

W téj chwili w kierunku cmentarza, odezwał się chichotliwy głos sowy.

Musimy tu nadmienić, że dom, o którym mowa, był na samym końcu miasteczka, oddalony od innych, a w pobliżu cmentarza.

Przez czeladnika ciarki przeszły, wolałby był nie wychodzić na te podglądanie, ale ponieważ już był na drzewie, więc nachyliwszy się dobrze, począł patrzeć przez zakurzone szyby.

I ujrzał..... z największem podziwieniem skrzyneczkę napełnioną ziemią, w któréj było utkwionych trzynaście krzyżyków. A nad tem wszystkiem stał nachylony pan Piotr, który łkając z rozpaczą po niejakim czasie zawołał:

— O dusze zmarłych! niech łzy i boleści moje wybłagają wam przebaczenie przed Bogiem.

W téj chwili sowa zachichotała się gdzieś tak blizko, że czeladnikowi przerażonemu zdawało się, że siedzi już nad jego głową. Strach go więc potężny ogarnął, chciał się usunąć gdzieś na bok, a zapomniawszy, że jest na drzewie, spadł z niego na ziemię i potłukł się dobrze. Powstał, ale nie mógł iść z przerażenia; zaledwie się zdołał zawlec kilkadziesiąt kroków daléj, w kierunku drogi, którą przybył, kiedy stracił siły i przytomność.

Nazajutrz pasterz, który równo ze wschodem słońca wypędzał krowy miejskie, znalazł naszego czeladnika i zaledwie się go zdołał docucić.

Od czasu téj przygody kowalczyka, nikt już nie miał ochoty dociekać skrytości tego domu. Poczciwe mieszczanki, przy spotkaniu Gertrudy, jeszcze śpieszniéj jak przedtem ustępowały jéj z drogi, gdyż obawiały się, aby im jakiéj złéj szkody nie wyrządziła.

Tak upłynął czas jakiś, kiedy pewnego wieczoru, zatrzymał się kurjer w miasteczku. Koń jego był okryty kurzem i pianą, i on sam zdawał się być nie mniéj sfatygowany jak ten wierzchowiec.

— A kogo to szukacie? zapytali się zaraz ciekawi miasteczkowi.

— Pewnego mieszkańca tego miasteczka, odpowiedział kurjer.

— Ba! jest nas tu kilkuset w miasteczku, do którego więc z nas masz interes?

— Do tego, którego wy nazywacie panem Piotrem.

— Aa! to to wy jego szukacie! O patrzcie, na końcu téj drogi, jak pójdziecie prosto, znajdziecie obdrapany dom, i to ten jest właśnie, o którego się pytacie.

— Bóg zapłać, odpowiedział kurjer, a idąc we wskazanym kierunku, wydobył cóś ze swojéj torby skórzanéj.

Ciekawsi zrobili wielkie oczy i spostrzegli, że to był wielki list opatrzony dużą czerwoną pieczęcią.

— Coby to mogło być, ktoby to taki do niego pisywał!

— Założę się, mówił jeden, że się teraz gdzieś uda w drogę.

— Nie wiem o cobym poszedł, że on dzisiejszéj nocy nawet nie przepędzi w domu.

— Coby to wszystko znaczyć miało, głowa mi pęka z myślenia, ale się jednak nic domyśleć nie mogę.

Tak to rozmawiali mieszkańcy miasteczka.

Temczasem kurjer zatrzymawszy się z dziesięć minut w tajemniczym domu, wyszedł, wsiadł na konia i wkrótce zniknął w obłokach z kurzawy.

Tejże saméj nocy, czarny rumak osiodłany stał przed drzwiami tajemniczego domu. Zdawał się on niecierpliwić, że tak długo musiał czekać, takby przynajmniéj z niespokojnego grzebania nogą wnioskować było można.

Już było po północy, kiedy z tego domu wyszedł człowiek obwinięty w płaszcz; był on blady i łzy mu spływały po twarzy.

Był to pan Piotr.

Stara Gertruda pomogła mu wsiąść na konia, a przytem przyświecała swą latarką.

Posępny ten jeździec rozsiadłszy się na koniu, zwrócił się jeszcze i powiedział: Gertrudo, a pamiętaj dobrze pilnować domu.

— Nie lękaj się pan o to.

— Niepozwól, aby się jaki ciekawiec do naszego domu dostał, a nadewszystko niezapominaj teraz zamykać okiennicy od mego pokoju.

— Wszystko jak pan sobie życzysz, będzie spełnione, możesz pan być pewnym.

— Wszak ty wiesz Gertrudo, że nasi sąsiedzi usiłowali już przeniknąć tę tajemnicę, którą przed wszystkiemi ukrywamy.

— O, wiem o tem dobrze.

— Dla tego pilnuj się dobrze moja kochana.

— W moim wieku ma się sen lekki, to też mnie nikt podejść nie zdoła, mogę za to zaręczyć.

Pan Piotr włożył w torybkę przytwierdzoną do siodła wielki list, który był poprzednio odebrał, a na którego kopercie rysowała się wielka czerwona pieczęć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 35, 36 i 37).

Po téj odpowiedzi, usłyszałem wewnątrz jakiś drugi głos cieniutki i bardzo miły. Widocznie naradzano się, czy mi otworzyć, czy nie.

— A zkądżeś ty?—odezwał się znowu ten sam gruby głos co i przedtem.

— Z pogorzałéj Korczówki; sierota bez opieki, odrzekłem już ze łzami w oczach.

Po téj odpowiedzi skrzypnęła zapora i drzwi się otwarły, a ja ujrzałem przed sobą wysokiego człowieka z miłą twarzą i o siwych włosach, lecz bardzo jeszcze krzepkiego.

— Chodźże dziecko daléj! rzekł do mnie ów człowiek, widząc, iżem nieśmiały. A głos jego w téj chwili taki był jakiś serdeczny i ojcowski, że aż mi gdzieś do serca trafił. Więc wszedłem raźno i uchwyciwszy go za kolana odezwałem się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Z drzwi bocznych wiodących do izby, biło rzęsiste światło na sień całą, i widać z nich było jakąś niewielką główkę, o ciemnych włosach. A gdyśmy weszli do izby, ujrzałem niewielką dziewczynkę, rokiem lub dwoma laty może młodszą odemnie. Na kominie buchał ogień suty, oświecając izbę czyściutko wybieloną i taką schludną, jakiéj w Korczówce u najzasobniejszych gospodarzy nie widywałem.

— I jakżeś ty tu zaszedł chłopcze? zapytał mię gospodarz, gdyśmy już byli w izbie.

Zagadnięty w ten sposób, opowiedziałem mu pokrótce, co mię z rodzinnéj wsi wygnało, dla czegom wyszedł i jakem się błąkał nic prawie jeść nie mając; zgoła wszystko mu wypowiedziałem.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, spoglądnął mi on bystro w oczy, i rzecze:

— A możeś ty jaki włóka i zmyślasz?

Zapytanie to zabolało mnie mocno; strzegłem się bowiem *kłamstwa* jak ognia od samego dzieciństwa; świeże łzy stanęły mi więc w oczach, zarumieniłem się i *milczałem*.

— No, no, nie turbuj się, rzecze na to gospodarz, klepiąc mię po ramieniu. A jakże się zowiesz?

— Antek, odrzekłem śmiało.

— Gotujże więc prędzéj moja Basiu, bo Antek bardzo głodny, dodał stary, obracając się do córki, która poprawiała ogień koło garnków na kominie.

Więc ja skłoniłem się mu jeszcze raz do kolan i rzekłem:

— Dziękuję wam gospodarzu, Pan Bóg wam nie *zapomni* téj litości nad sierotą.



Mer ubrał się we wszystkie oznaki swéj władzy,—(str. 302, szp. 1).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Walter).

A gdy on mnie wziął oburącz za głowę i w czoło pocałował, to mi się tak jakoś słodko zrobiło wedle serca, żem myślał iżem w Niebie, i że widzę mojego ojca nieboszczyka i żem już nie sierota. Aż do dzisiaj pamiętna mi ta chwila, w któréj nie wiem dla czego, od razu jakoś do tego staruszka przylgnąłem.

Po niedługiéj chwili, była wieczerza gotowa. Stary Tomasz, bo tak się gospodarz nazywał, usiadł za stołem, a Basia postawiwszy w misce polewkę z kluseczkami, rozstawiła białe talerze i usiadła obok; ja stałem w kącie pokornie.

— A chodźżeż jeść, zawołał gospodarz, wskazując mi ławę z przeciwnéj strony stoła, bo to dla ciebie najpotrzebniejsze!

Zbliżyłem się nieśmiało, a mało mi oczy na polewkę nie wyskoczyły, takim już był zgłodniały. Dla tego też Tomasz uśmiechał się tylko, gdym wziął łyżkę do ręki i tak prędko zmiatał, że tylko uszy mi się trzęsły. W jednéj chwilce był już talerz próżny.

— Dajże mu Basiu drugi, rzecze gospodarz, bo setnie głodny.

Drugi talerz poszedł tak prędko jak i pierwszy, a gdy mi Basia potem ziemniaków dobrze omaszczonych postawiła, odezwał się znowu Tomasz:

— No, na tem koniec mój Antku, bo to można się choroby nabawić, jeżeli człowiek dobrze przygłodzony, dużo od razu się naje. Przespawszy się, będziesz już mógł jutro jeść do syta.

Ale ja nie mógłem już i ziemniaków dojeść, bo mi się zdawało żem po uszy najedzony, a w rzeczy dla tego, żem był mocno osłabiony tak długiem błąkaniem i żołądek od jedzenia odwyknął. A gdyśmy wieczerzę skończyli, zmówił Tomasz pacierz dziękczynny, podczas gdyśmy z Basią ręce złożywszy, słowa jego powtarzali. Powstawszy od stołu, zawołał mię Tomasz do sieni i kazał mi zdjąć pęk słomy i rozstrząść go w izbie, dla siebie na posłanie Poczem, wyniósł mi z przyległéj mniejszéj izby czystą a ciepłą derkę i rzekł:

— No, a teraz kładź się spać Antku, boś bardzo zmęczony i oczy ci się tylko świecą.

— Już ja na was poczekam gospodarzu, odpowiedziałem.

— A my *też zaraz pójdziemy*, rzekł Tomasz, i jął gonić spać Basię; która umywszy pięknie naczynia od wieczerzy, przygarniała popiołem żar na kominie, zwłaszcza, że i do światła ogień już był niepotrzebny, bo od *saméj wieczerzy*, paliła się świeczka na stole. Po niedługiéj więc chwili, zabrał się Tomasz z Basią do przyległéj izby, wziąwszy też światło ze sobą; wtedy ja, zruciwszy płótniankę, przeżegnałem się i upadłem jak nieżywy na słomę.

Było jeszcze pół biedy, jak długo chodziłem; położywszy się, uczułem dopiero ból w całem ciele i w kościach. Gorąco uderzyło mi do głowy i nie mogłem zasnąć, bo różne rzeczy latały mi przed oczyma. Widziałem najprzód niby nieboszczkę matkę moją, jak z aniołami przelatywała nademną, rzucając na mnie gwiazdami i jabłuszkami różnemi i słyszałem, niby śpiew aniołów nadzwyczaj miły i przecudny, a aniołowie ci splatali najprzód wieńce z bławatków, wielkie, większe i wreszcie tak wielkie jak całe Niebo niebieskie; potem zaś brali zzanadrza czerwone jak krew bławaty i rzucali niemi w górę. Więc bławaty owe nikły mi ciągle przed oczyma, aż wreszcie zaczęły się wić jak węże i jak płomienie, i ujrzałem niby palącą się Korczówkę, i słyszałem ludzi lamentujących, i widziałem niby moją matkę nieboszczkę w tych płomieniach. Więc chciałem się rzucić i pójść ją ratować, i rzuciłem się na posłaniu, alem się nie mógł podnieść i uczułem ból w nogach. Potem, owo widzenie Korczówki zaczęło się spływać w jedno, jakoby w ogromne palące się drzewo, podobne *zupełnie* do owego świerka, com go widział w puszczy, a na tem drzewie siedział jakiś ptak

z ogonem węża, który się śmiał ludzkim głosem. Wszystko to było na jawie, a jak mi się dziś zdaje, musiałem mieć wtedy gorączkę, jakto zwykle miewają ludzie bardzo zmęczeni i przegłodzeni. Potem uspokoiłem się nieco, a było już gdzieś pewnie po północy, bom słyszał wyraźne pianie kogutów. Płomienie owego drzewa, zaczęły się obracać w kółka to mniejsze, to większe, a podczas gdy mi te kółka latały przed oczyma, musiałem stracić pamięć i szepcząc tylko: Chwała Ci Panie Boże! zasnąłem bardzo smacznie. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

L I P A.

Z pomiędzy drzewin, które nam służą do rozlicznych wygód, przyjemności i potrzeb; lipa, że tak powiemy, ma najświętsze wspomnienia w kraju naszym. Bo i jakież to drzewa jeśli nie lipy, osłaniają zwykle od wieków kościoły i chaty nasze? jakież to drzewo, jeśli nie lipa z gniazdem bocianiem, rosło po nad gospodą owego kołodzieja, przodka królów Polskich, Piasta? jakież to drzewa, zieleniąc zdaleka wspaniałemi koronami swojemi, wskazują nam miejsca wiosek i miast naszych? jakież to drzewa jeśli nie lipowe najwięcéj wykołysały dzieci naszych? jakieżto skrzypki? jeśli nie lipowe przygrywały nam w chwilach radości i wesela? Drzewo to tak blizkie świątyń Bożych, kołysek naszych, chwil roskosznych i trumien lipowych, godne jest i opisu i rozważenia.

Łatwo bardzo odróżnić lipę od wszystkich innych drzew tą własnością, że szypułka z kwiatem nie wyrasta wprost z gałązek, ale ze szczególnego języczkowatego liścia, który, gdy dojrzeje, służy niejako za skrzydełko owocowi lipy. Drzewa tego dwa odróżniają się gatunki: piewszym jest, *Lipa z wielkiemi liściami*, a drugim *Lipa pospolita*. Oba rosną w kraju naszym.



Lipa.—(Rysował i wyciął na drzewie Kazimierz Kuczyński).

I.

Lipa wielkolistna, ma liście pod spodem okryte włoskami, większe niż u lipy pospolitéj, podobnież owoc i kwiaty jéj są okazalsze, zwykle tylko po 2 lub 3 na jednéj szypułce osadzone i wyraźnie kosmate. Ten gatunek lipy jest dość rzadki u nas, kwitnie wcześniéj niż lipa pospolita, bo nawet na końcu czerwca; dorasta też wyżéj, a żyć może tak jak dąb do 1,000 lat; dochodzi do ogromnéj grubości, lecz w środku z latami próchnieje. W cieniach lasu dorasta do 50 łokci, rosnąc osobno rozrasta się w piękną koronę. Siać można lipinę albo zaraz po dojrzeniu nasienia albo z wiosną. Z młodych drzewek wielka ilość usycha. Grunt lubi pulchny, dobry, nie bardzo wilgotny i w zimniejszych nawet krajach niż nasz, rosnąć może.

Drewno lipy jest białe, czyste, miękkie, lekkie, wyrabia się łatwo, pięknie i nie paczy się, rysa na niem zrobiona, zaraz się zamyka. Ztąd też drewno takie bardzo lubią snycerze, wyrabiając z niego posągi i inne ozdobne przedmioty; lubią je i tokarze, a stolarze przekładają lipę nad wszystkie drzewa krajowe użyteczne; daje się bowiem doskonale wygładzić i wypolerować do tego stopnia, że naśladowany palisander z lipy, trudnym jest do odróżnienia od prawdziwego.

Prócz tego na użytki domowe i gospodarskie daje z siebie lipa: kopaczki, łopaty, szufle, miski, ule używane w gubernji Podolskiéj szczególniéj, daléj: stępy, pudła, kołyski, instrumenta muzyczne i inne wyroby z desek jéj uskuteczniane, a dawniéj mosty, studzienki ocembrowane i budowle okazałe.

Kory lipowéj, mianowicie z gałęzi 12-to lub 15-letnich, dobrze wymoczonéj, używają do wyrabiania rogóżek; ze staréj zaś kory robi się łub używany na pudła, a na Ukrainie wybijają nim wozy i bryki. Rusini używają jeszcze łyka młodych gałęzi lipowych na gatunek obówia zwanego postołami, a w puszczy Myszenieckiéj w Ostrołęckiem, takie plecione z łyka trzewiki, nazywają kurpiami. Na opał lipa jest mało przydatna, dając wątły i prędko gasnący węgiel, którego raczéj używają głównie do robienia prochu. Oléj z nasienia lipowego wyborny; liście służyć mogą na pożywną paszę.

Nazwiska niejednych wsi naszych i miasteczek, naprzykład: *Lipiny*, *Lipie*, *Lipno*, *Lipsk* miasteczko w gubernji Augustowskiéj i t. d., już są dowodem, że w Polsce niegdyś lipy napotykały się gęsto; były też jak wiadomo, same lipowe lasy, a w nich pasieki wydające owe sławne miody *Lipcami* zwane. Z wielu wspomnień pokazuje się, że u nas bardzo kochano drzewa. Wspomnijmy tylko sobie, wiele to piosenek, powieści i rozrywek dostarczył widok lip, szum ich liści zielonych i chłód rozległego cienia! Pogardzać tylko należy czarowniczemi praktykami, do których używali przebiegli oszuści na szkodę łatwowiernych. Dziś coraz rzadziéj spotykamy już te piękne, rozłożyste drzewa, te ozdoby mieszkań naszych i całego kraju. Pochodzi to z braku uszanowania rodzimych pamiątek; często dla lichego zysku rozstajemy się z tem, co naszą duszę weseli. Jednakże wspomnimy tu, że w Wieluńskiem w Bolkowskich lasach, między innemi drzewinami rzadszemi wiele lip napotkać można. W gubernji także Podolskiéj, w tak zwanych Czarnych lasach, lipa nie jest rzadkością, i w każdym razie nie zniknie ona prędko, jeśli nierozmyślnie na opał ścinać, lub młode szczepy niszczyć nie będziemy. Niechaj każdy swe mieszkanie wiejskie obsadza drzewinami, niech ich po drogach nie niszczy, a nie będzie obawy, że drzewa nam zbraknie, że nie będzie się gdzie

schronić w czasie dusznego gorąca. Drzewa także pomagają i zdrowiu naszemu, bo wydają z siebie liśćmi, pożywne dla piersi naszych oddechy.

II.

Wspomnieć tu nam jeszcze należy o *Lipie pospolitéj*, jako o gatunku powszedniejszym u nas. Ma ona liście dość tęgie a cienkie, z wierzchu i pod spodem gładkie, tylko w kątach żyłek znajdują się brunatne włoski na listkach, które są mniejsze od liści lipy wielkolistnéj. Owoc ma gładki, wielki jak ziarnko soczewicy. Że kwitnie w lipcu, więc też miesiąc ten dla tego jéj imieniem nazwano; dojrzewa zaś w jesieni, lecz często przez całą zimę zatrzymuje na sobie owoc. Wyrasta do wysokości 40 łokci, a grubości 3 łokcie. Służy na wyroby tych samych sprzętów i ozdób jak lipa wielkolistna.

Józef Grajnert.

TRAFNY POMYSŁ.

Jeden z młodych malarzy Warszawskich, który w swoim zawodzie wyrobił już sobie pewną sławę, najął w jesieni 1863 r., w bliskości S-go Aleksandra, mieszkanie za 1200 złotych rocznie, za które przed dwoma jeszcze laty płacono tylko 500 złotych. Z powodu tak wygórowanéj naraz ceny najmu, młody artysta miał przynajmniéj nadzieję, że gospodarz przez kilka lat nie będzie mu podwyższał komornego. Ale jakież było jego zadziwienie, gdy gospodarz po upływie trzech kwartałów, zjawił się ze stęplem w ręku i wypowiedział mu mieszkanie!

— Przyszedłem, wyrzekł bez żadnéj ogródki, ażeby pana zawiadomić, że z przyszłym kwartałem podwyższam cenę pańskiego mieszkania o 300 złotych, i jeżeli pan niezgodzisz się na tę cenę, możesz się wyprowadzić.

— Ależ panie! zawołał artysta zadziwiony, ja zaledwie jestem w stanie dotychczasowe zapłacić komorne, a cóż dopiero 300 złp. więcéj! To czyste niepodobieństwo na dzisiejsze ciężkie czasy.

— W takim razie nie ma co mówić, pan się wyprowadzi. Oto wypowiedzenie komornego, proszę je podpisać.

Artysta westchnął głęboko i popatrzał na gospodarza wzrokiem melancholicznym; nareszcie odrzekł głosem na pół rzewnym i przeciągłym:

— Niech i tak będzie!

— Pan jak widzę, niechętnie ztąd się wyprowadzasz; ale cóż zrobić mój panie, dziś każdy z własności swojéj ciągnie, ile tylko może. Podatki wygórowane, to stróża trzeba trzymać, to kary raz po raz płacić; policja siedzi mi ciągle na karku i pociąga do odpowiedzialności, to za nieczystość w podwórzu, to za meldunki i Bóg wie za co jeszcze. Oj biada przyszła na gospodarzy. Tego nigdy nie było jak świat światem!... O! ja pańskie mieszkanie podwyższę najdaléj za rok na 2,000 złp. i jeszcze prosić się będą lokatorowie, aby mogli w moim domu mieszkać.

— Rób pan, co mu się podoba, ale mnie pana żal doprawdy! Wyprowadzić się mogę, bo nie mam ochoty zatrzymywać dłużéj tego mieszkania. Z pieców się dymi, w pokojach wilgoć i zimno, z podwórza nieczyste zalatuje powietrze. Nie trudno mi będzie znaleść pomieszkanie wygodniejsze, lepsze i tańsze. Los tylko własny pana najwięcéj mnie obchodzi.

— Jakto? zapytał gospodarz zadziwiony. Sądziłbym, że los mój godzien więcéj jest zazdrości niż litości!

— Ile pan masz lat? zapytał artysta.

— Pięćdziesiąt.

— A zdrowie pańskie?

— Nie pozostawia nic do życzenia.

— Niestety! nie uratuje ono pana. Przed upływem trzech miesięcy od dnia mojego wyprowadzenia się, pan zakończysz życie.

— Co pan przez to rozumie? zapytał gospodarz. Czy pan uważa mnie za głupca?

— Wina to pańskiego przeznaczenia, ciągnął powoli smutnym głosem artysta. Pozwól pan jaśniéj się wytłumaczyć. Przed kilku laty mieszkałem na Krakowskiem-Przedmieściu. Gospodarz mój, tak samo jak i pan, chciał mi podwyższyć komorne. Nie przystałem na to. Gospodarz, tak samo jak pan czynisz obecnie, wypowiedział mi mieszkanie, i po trzech miesiącach..... skończył życie. Posłuchaj pan daléj. Wyprowadziłem się i mieszkałem na Lesznie. Ale zaledwie tam cokolwiek zagrzałem miejsca, kiedy gospodarz chciał mi również podwyższyć komorne. Nie zgodziłem się na to i musiałem się wyprowadzić. Gospodarz był jeszcze młody, silny i zdrowy, a jednak po trzech miesiącach został—trupem. Pochowano go w tym samym dniu, kiedym opuścił jego dom.

— To szczególne! pomruknął z jakiemś niedowierzaniem i obawą gospodarz.

— O! ja jeszcze więcéj mam do opowiedzenia, ciągnął daléj artysta. Zanim przeprowadziłem się tu, mieszkałem w domu pana B. zamożnego kupca, którego pan jak się zdaje musi znać. Nie prowadzi on już więcéj interesów kupieckich...

— Tak, tak, znałem go;—umarł 8 stycznia.

— W saméj rzeczy tak, i to właśnie po trzech miesiącach mojego ztamtąd wyprowadzenia się, gdyż podwyższonego przez niego komornego nie chciałem i nie byłbym w stanie zapłacić. Widzisz pan, że to szczególniejsze zdarzenie. Czy pan wierzy w przesądy? Ja przyznam się panu, że są często ludzie, z których osobami wiąże się jakaś fatalność. Nie wątpię o tem, że pan tak samo możesz skończyć, jeżeli uparcie obstawać będziesz przy podwyższeniu komornego. Bóg mi świadkiem, że chciałbym wedle możności wszystko uczynić, ażeby pana wyrwać z rąk tego fatalnego przeznaczenia, ale to nie leży w mojéj mocy, nie podobna mi więcéj płacić. Zresztą pan będziesz miał przynajmniéj tę satysfakcję, że zostawisz po sobie piękny majątek. Siostrzeńcy pańscy, to młode i wesołe chłopaki!... Być jednak może, że po owych trzech katastrofach, nie ściga mnie już więcéj ta straszna fatalność. Byłoby to z pańskiéj strony słabością poświęcać swoje pieniężne interesa dla jakichś tam chimerycznzch urojeń. Uważałem przecież za obowiązek, zwrócić na to uwagę pańską.

— A ja panu serdecznie za to dziękuję, odrzekł gospodarz, który z widoczną niespokojnością przysłuchiwał się opowiadaniom artysty. I żebyś pan wiedział, jak potrafię cenić jego otwartość, to wiedz, że w zajmowanym przez niego lokalu, możesz spokojnie nadal pozostać.

— Bez podwyższenia komornego?

— Owszem, z obniżeniem o 200 złp. Zgadza się pan na spisanie kontraktu.

— Z największą chęcią.

Kontrakt został spisany na trzy lata i lokatorowi zostawiono było do woli, po upływie tego terminu, przedłużyć kontrakt na dalsze dziesięć lat. Gdyby to każdy lokator potrafił sobie tak zaradzić!

Franciszek St.

JAKIE WYCHOWACIE DZIECI, TACY BĘDĄ MĘŻE.

Znana to prawda, a pomimo to zbyt mało pojęta, zbyt mało z dziedziny myśli w dziedzinę czynu wdrożona. Pod względem elementarnego wychowania u nas, wieleby powiedzieć można, ograniczamy się jednak na wzmiance, pod względem kształcenia rzemieślniczéj młodzieży.

Wszak każda myśl poczciwa, w imię dobra ogólnego wypowiedziana, powinnaby być w czyn zamienioną, a u nas niepojętym wypływem jakiegoś zaniedbania i obojętności, myśl oświecania rzemieślników, mało znajduje poparcia ze strony samych panów majstrów, których wpływ na téj drodze, jako stanowczo niemal decydujący, zbawienneby dał następstwa.

Szkoły Rzemieślniczo-niedzielne istnieją, i na téj drodze dość już zrobiono, potrzeba tylko dobréj i silnéj woli samych panów majstrów, aby młodzież u nich pracującą do szkół zapisywali, znaglając ją niejako do regularnego tamże uczęszczania.

Tymczasem rzeczy w odwrotnym zupełnie znajdują się stosunku, i tak: na zapytanie ucznia dla czegoś przeszłéj niedzieli nie był w szkole? tenże odpowiada: a bo mnie pan majster posyłał z robotą, więc nie miałem czasu; albo co gorsza tłumacząc siebie, uczeń mówi: nie byłem, bo mi p. majster powiedział: co tam, szkoła nie zginie, pójdziesz w drugą niedzielę, dzisiaj pouprzątaj w warsztacie, potem dokończ zaczętéj roboty, żeby była gotowa nim ja przyjdę z kościoła.

I nie są to rzeczy zmyślone, gdyż zmniejszająca się liczba uczniów w Szkołach Niedzielnych, oraz bliższe otarcie się o stosunki domowe rzemieślników dowodnie przekonywają, iż bardzo wielu jest takich majstrów, którzy, wyzyskując czas i pracę młodego chłopca, dopiero po 5ciu lub 8miu latach jego w warsztacie pracy, zaledwie go do szkoły zapiszą, tamując mu tem samem drogę jego przyszłości. Zdarza się bowiem, iż zapisany do szkoły 18 lub 20 letni terminator, uzdatniony nieraz w zawodzie swéj pracy, o tyle, że jużby mógł się wyzwolić na czeladnika, przyjętym zaledwie zostaje do pierwszéj klassy, nie mogąc ma się rozumieć wyzwolić dopóty, dopóki Szkół przepisami wskazanych nie skończy.

Przy ogólnem już dzisiaj, we wszystkich niemal krajach, podniesieniu oświaty rzemieślników, brak jéj u naszych, rażąco w oczy uderza i smutne daje rezultaty.

Tyle razy powtarzano już zdanie, że obecnie najlepszy rzemieślnik, nie mając nauki, do znaczenia prostego tylko zchodzi robotnika.

Prawda, że trudno, by wszyscy jednostronnie, traktowali ten przedmiot, jednakże ci z panów majstrów, którzy odznaczają się większą intelligencją, i tem samem pojmują doniosłość nauki; ci mówię przodując swéj braci w zawodach specjalnych, podnieśćby powinni tę kwestję ze stanowiska moralnéj przewagi, jaką wszędzie i zawsze wykształcenie i nauka nadają.

Panowie Starsi Cechowi, choćby już tylko samym wpływem sumiennego spełnienia swoich obowiązków, powinniby silny wywierać nacisk na swoich współpracowników, aby myśli powyższe, niejednokrotnie już podejmowane, nie marniały; lecz silnie wprowadzone w życie, tak samym rzemieślnikom, jak i ogółowi, moralne i materjalne przyniosły korzyści.

Mamidło.

W krajach nad morzem leżących, niejednokrotnie w powietrzu widać w wielkiéj odległości zwaliska, kolumny, zamki, pałace i mnóstwo przedmiotów, które zmieniają miejsce i postać, w każdéj chwili. Całe to widowisko, jest tylko złudnem odbiciem ziemskich przedmiotów, niewidzialnych w zwyczajnym stanie powietrza, a które się stają widzialnemi i ruchomemi, gdy promienie światła od nich idące, przechodzą w linjach krzywych, przez warstwy powietrza różnych gęstości.

W Egipcie, jak tylko słońce ogrzeje powierzchnię gruntu, takowa przedstawia się do pewnéj odległości, jakby wodą zalana. Wioski wydają się jakby wyspy wśród rozległego jeziora, a nad każdą wioską, widać jéj obraz przewrócony; ląd znika, a sklepienie Nieba odbija się w spokojnéj wodzie.

Zdarzają się zjawiska tak dziwne, że dawniéj w wiekach ciemnoty, lub też dziś jeszcze lud nieoświecony, gotów je uważać za cuda, np. odbicie się postaci naszéj na chmurach, jakby w zwierciadle. Uczony doktór Buchan, znajdował się o wschodzie słońca na wysokiéj skale. W chwili, gdy słońce zaczęło wschodzić spostrzegł: skałę, swój obraz własny i przyjaciela, który mu towarzyszył, odmalowanych na powierzchni wód. Inny znowu uczony mąż Hane, wszedłszy na szczyt góry, kiedy słońce weszło, a niebo było pogodne, spostrzegł na chmurach postać ludzką wymiarów olbrzymich; silny wiatr zerwał mu kapelusz, a gdy posunął rękę ku niemu, postać na chmurach, toż samo poruszenie zrobiła. Hane nachylił się, mamidło tenże sam ruch wykonało, a potem znikło, aby się znów pojawić w tymże kierunku, ciągle naśladując poruszenie Hana. Inna osoba potem, przybyła do niego, dwie postacie olbrzymie pokazały się w tymże samym kierunku, powtarzając wszystkie ruchy dwóch widzów. Pokazały się i znikły, niekiedy postacie były słabe i niewyraźnie oznaczone, inna razą jak najwyraźniejsze.

ROZMAITOŚCI.

— System nerwowy u ptaków, jest w ogólności mało rozwinięty, i tylko przez porównanie objętości ich mózgu z objętością ciała, dochodzimy do szczególnych spostrzeżeń. I tak: mózg strusia i koguta są jednéj wielkości. Gęś i indyk mają mózg bardzo mały. Bardzo mało jest zwierząt, którychby głowa była większéj objętości i mózg więcéj rozwinięty jak u papug, równie jak u małych ptasząt, żywiących się ziarnem i owadami. U nich proporcja massy mózgowéj, stosunkowo do ciężaru ciała, jest przynajmniéj taka, jak u człowieka.

— Strusie mają zmysł smaku bardzo niedoskonały i zdają się być nadto pozbawione w części tak powszechnego u wszystkich zwierząt instynktu zachowawczego: one pożerają często w znacznéj ilości gwoździe, kamyki i t. p. z prawdziwą chciwością chwytają wszystkie przedmioty białe albo błyszczące, jakie tylko mogą dosięgnąć. Menażerja Muzeum w Paryżu, utraciła kilka tych ptaków, które połknęły kawałki szkła, nieostrożnie pozostawione na ich drodze.

— Wydoskonalenia słuchu u ptaków, dowodzi łatwość, z jaką pomiędzy sobą zatrzymują dźwięki i powtarzają je z taką dokładnością, że kopjują wszystkie nagięcia, wszystkie tony głosu ludzkiego i naszych instrumentów. Nie można zaprawdę odmówić ucha tym prześlicznym małym muzykantom, zaludniającym gaje i lasy, a zwłaszcza ciekawemu rodzajowi drozda, znanego u naturalistów pod imieniem wielojęzycznego (polyglotte), a którego Amerykanie nazywają przedrzeźniaczem. Podług Odiubona, krzyk zwykły tego ptaka ma wyraz smętny, ale z nadejściem epoki budowania gniazda, śpiew samca nabiera melodji zachwycającej. Śpiew ten zrazu jest prostym tematem, który powoli ptaszę wykształca, stopniuje, cieniując do nieskończoności, i wprowadzając weń najwięcéj harmonijne dźwięki natury, szelest liści, szmer strumyka, łoskot wodospadu. Ale to dopiero preludja. Zawieszony na gałęzi w pobliżu swojéj towarzyszki, z rozpostartemi skrzydłami, ogonem z białemi centkami, rozwiniętym jak wachlarz; przedrzyźniacz oddaje się dziwacznemu skakaniu i rozpoczyna swój śpiew uroczy, urozmaicając go nowemi naśladowniczemi tonami; rozpoznajesz w nim gruchanie gołębia, gdakanie kury, porównywany świst innych drozdów. Późniéj z zadziwieniem usłyszysz w jego śpiewie naśladowanie szczekania psa albo lisa, ryczenia bawołu, miauczenia kota, przeraźliwego krzyku sowy, któréj głos tak wiernie oddaje, że pośród białego dnia pierzchają ptaszęta, jakby przed swoją nocną nieprzyjaciółką po zachodzie słońca.

— Czyby nie można było przypisać oddzielnemu zmysłowi téj szczególnéj przezorności, z jaką wiele ptaków, a szczególnie gołębie, umieją odnaleźć swoje mieszkania; bez względu na kierunek i odległość, w jakich od niego się znajdują. Widziano je, jak pozostawione sobie, natychmiast wznosiły się bardzo wysoko w powietrze, opisywały koła coraz szersze, jak gdyby dla zastanawiania się, późniéj nagle kierowały się w linji prostéj ku zwykłemu swemu siedlisku.

Człowiek umiał obrócić na swoją korzyść cudowny instynkt tych ptaków, i nieraz używał gołębi za kurjerów, małych posłańców. *Belon* wspomina, że marynarze Egiptu i Archipelagu Greckiego, zabierali z sobą w czasie podróży gołębie i wypuszczali je na wolność po przybyciu na miejsce przeznaczenia. Te ptaki odlatywały w chwili odjazdu i dawały znać rodzinom osady, że podróż szczęśliwie odbyta. W roku 1574, w czasie oblężenia Harlemu, książę Oranji użył na posłów—gołębi, którym winien utrzymanie téj ważnéj twierdzy; przez wdzięczność zażądał, ażeby te ptaki żywione były kosztem miasta, w honorowéj ptaszarni, i żeby po śmierci były balsamowane, dla zachowania w ratuszu miejskim, jako pamiątka historyczna.

Prędkość ich lotu jest niesłychana. W Nowym-Yorku zabito przelotne gołębie, w których gardle znaleziono ryż, tak mało zamieniony przez czynność trawienia, że użycie go nie mogło nastąpić późniéj od sześciu godzin; a ponieważ ryż ten mógł być zjedzony nie gdzieindziéj jak w Karolinie, wypada ztąd, że nasi podróżni przelecieli 400 mil francuzkich przez godzin sześć, to jest, po 200 wiorst na godzinę.

— Ciekawe obrachowanie podało Towarzystwo omnibusów paryzkich. Wszystkie omnibusy, które ciągle przebiegają Paryż we wszelkich kierunkach, przebiegają razem dziennie 13,000 mil, to jest półtora razy obwód całéj kuli ziemskiéj. Linja tylko jedna idąca z Odeonu do Clichy jest długa na wiorst 9. Co pięć minut na téj linji odchodzi omnibus, a co ma miejsce od godziny 8 rano aż do północy. Na téj więc jednéj tylko linji ujeżdżają omnibusy tam i napowrót 500 mil drogi, co pokazuje najlepiéj, że obrachowanie powyższe wcale jest nieprzesadzonem.



(Rysował Polkowski wyciął na drzewie J. Sosiński).

ROZMOWA UBÓSTWA Z BOGACTWEM.

(Szkic z życia Warszawskiego).

Uboga.

—„Litość panie nad sierotą,
Racz okazać; ledwo żyję...

Pan.

—„Héj Michale, ty niecnoto!
Każe za to dać ci kije,
Że mi wpuszczasz tę hołotę...

Uboga.

—„Niech się serce twe rozczuli:
Miłosierdzia! w Imię Nieba!...
Ot, jam sama bez koszuli,
A tam—dziatki krzyczą: „chleba!"

Pan.

—„Ej umykaj, gdym cierpliwy,
Bo połamię, jak nic kości!...

Uboga, (wychodząc z płaczem).
O mój Boże litościwy!
A on słynie z uczynności!...

Ancewicz.

Od Redakcji.

— *Opiekun Domowy* w kwartale IV-ym r. b., na tych samych jak dotąd warunkach prenumeraty, to jest, 40 groszy na miesiąc w Warszawie, a złp. 5 kwartalnie na prowincji, wychodzić będzie, z dążeniem do coraz szerszego rozwinięcia wewnętrznéj wartości pisma i podniesienia artystycznego strony zewnętrznéj. Współdziałanie w obu tych kierunkach, tak autorów jako i artystów naszych mamy zapewnione. W końcu roku damy *Spis przedmiotów* w tym I-ym tomie Opiekuna Domowego zawartych, oraz tytuł i pięknie wykonaną okładkę, tak, aby cały komplet należycie oprawny, stanowił całość i wszedł, o ile się spodziewamy, jako pożyteczna książka do bibljotek rodzinnych. Od współczucia ogółu czytelników naszych, zależeć będzie dalsze wydawnictwo Opiekuna Domowego w następnym roku i możebne rozwinięcie pisma tego, tak pod względem zwiększenia formatu, jako i ulepszenia treści.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, ADAM MIECZYŃSKI.